


Ochrona przyrody na pierwszym miejscu - ze Zdzisławem Szkiruciem, dyrektorem Wigierskiego PN rozmawia Dariusz Matusiak

Ochrona przyrody na pierwszym miejscu - ze Zdzisławem Szkiruciem, dyrektorem Wigierskiego Parku Narodowego rozmawia Dariusz Matusiak

Jest Pan osobą mocno zakorzenioną na Ziemi Suwalskiej. Czy tu znajdują się Pana korzenie? Samo nazwisko wskazuje, że pochodzi Pan z pogranicza...

Zdzisław Szkiruc: Włodek Łapiński - mój kolega leśnik, fotografik i przyrodnik, gdy spotkaliśmy się w 1975 r.  powiedział, że jestem Żmudzinem. To nieprawda, ale jemu to pasowało do mnie. Na tę ziemi trafiłem po studiach na Wydziale Leśnym SGGW w Warszawie, przekonując ówczesnego dyrektora Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Białymstoku, że potrzebny jest mu człowiek, który zajmie się turystyką w lasach państwowych. To był rok 1972 i wtedy dyrektor Filipowicz po półgodzinnej rozmowie uznał, że taki człowiek jest mu rzeczywiście potrzebny i po odbyciu stażu rozpocząłem pracę w Nadleśnictwie Augustów jako adiunkt do spraw zagospodarowania turystycznego Puszczy Augustowskiej. To było pierwsze stanowisko w lasach państwowych dla człowieka, który zajmował się zagospodarowaniem turystycznym. To było ok. 30 lat temu, od tego czasu mieszkam na tej ziemi.

Potem były zmiany województw w 1975 r. i potrzebny był - jak to stwierdzono - nowy człowiek do ochrony przyrody. A ponieważ miałem z racji swej funkcji kontakty z różnymi instytucjami, organizacjami i samorządami, więc zaproponowano mi stanowisko Wojewódzkiego Konserwatora Przyrody w nowym województwie suwalskim i zajmowałem je do roku 1989, tzn. prawie 14 lat. Województwo było ciekawe, duże, bardzo wiele nowych obiektów ochrony przyrody powstało w tym czasie, zrodziła się idea Zielonych Płuc Polski. Leśnicy gospodarujący na tym terenie od lat 70. mieli nieszablonowe - jak to wtedy mówiono - podejście do gospodarki leśnej, np. Zarząd Lasów w Białymstoku jako pierwszy wprowadził u siebie strefy ochronne wokół gniazd ptaków drapieżnych, a dopiero rok po tym minister wydał podobne zarządzenie. Dyrekcja Lasów w Białymstoku zatwierdziła status ochrony Puszczy Augustowskiej jako bardzo kontrowersyjną wtedy dla wielu osób decyzję, która do dzisiaj obowiązuje. I to były na pewno w takiej skali pierwsze działania związane z ekologizacją gospodarki leśnej. Gdy rozmawiałem z kolegami konserwatorami w tamtych czasach, to mówili: "Wiesz, tobie to łatwiej". W ciągu tych 14 lat przy przychylnym stosunku lasów państwowych powstało ponad 50 rezerwatów - w jednym tylko województwie.

W Lasach Państwowych zdarzył się jedyny taki przypadek w tamtych latach, że był człowiek - Krzysztof Wolfram - specjalista, który zajmował się wyłącznie sprawami ochrony przyrody. W tym rejonie to było ważne, bo mieliśmy bardzo cenne przyrodniczo tereny leśne. Zatem podejście leśników, nadleśniczych, dyrekcji, naczelników różniło się w owym okresie od innych rejonów kraju. Bardzo często było tak, że powstawał projekt rezerwatu, który był jeszcze trochę surowy. Pierwszym kontaktem, który wykonywałem był kontakt z nadleśniczym i zarządem lasów w Białymstoku i

Ochrona przyrody na pierwszym miejscu - ze Zdzisławem Szkiruciem, dyrektorem Wigierskiego PN rozmawia Dariusz Matusiak

umawianie się na wyjazd terenowy, żeby obejrzeć ten obszar. I praktycznie od tego momentu leśnicy podchodzili do niego nieschematycznie. Po takiej wizytacji terenowej, dyrektor wydawał decyzję i wstrzymywał rutynowe zabiegi na danej powierzchni, zostawiając tylko cięcia sanitarne. Często było tak, że rezerwat przyrody projektowany był przez kilka lat, bo albo się waloryzacja opóźniła, albo nie było na coś pieniędzy, a las czekał i tam nic złego się nie działo. W innych rejonach kraju było różnie. Istniejące tu parki narodowe czy krajobrazowe, ilość rezerwatów, które w większości położone są na terenach lasów państwowych świadczą o tym innym podejściu. Nigdy nie było żadnych konfliktów ze służbami leśnymi, poza drobnymi incydentami. Tu powstały pierwsze parki krajobrazowe w Polsce - w 1976 r. Suwalski PK i Wigierski PK, których istotną część, zwłaszcza w Wigrach, stanowią lasy. To bez pozytywnego stosunku leśników byłoby niemożliwe.

To, że Pana droga życiowa jest związana z ochroną przyrody, to nie jest przypadek? Jakie motywacje skłaniają Pana do tego, żeby bronić przyrody?

Z. S.: Jestem leśnikiem i przyrodnikiem. Pracę magisterską pisałem na temat zagospodarowania turystycznego, czyli od samego początku dorosłej edukacji patrzyłem na przyrodę nie pod kątem tego, co da się pozyskać, ale tylko jak korzystać z niej zachowując ją. Na studiach doktoranckich zajmowałem się zagadnieniami pozaprodukcyjnych funkcji lasu, szukając takiego sposobu gospodarowania przestrzenią, która łączy ze sobą wiele sprzecznych - zdawałoby się - funkcji. Stanowisko konserwatora przyrody na terenie województwa też zmusza do przestrzegania prawa i działania w interesie ochrony, ale rozumiejąc także inne interesy i trzeba w pewnym momencie znaleźć kompromis, jak to wszystko pogodzić.

Taki sposób działania towarzyszył mi przez 30 lat. WPN znam od samego początku. Projektowaliśmy go - jako konserwator brałem w tym udział - z prof. Sokołowskim oraz leśnikami miejscowymi i białostockimi. Na plenerach "Sztuka i środowisko", które odbywały się tu nad Wigrami, dzięki pomysłowi prof. Andrzeja Strumiły i przychylności władz wojewódzkich przez 18 lat spotykali się szeroko rozumiani humaniści i dyskutowali nad tym, jak najlepiej o tę przestrzeń dbać. Było miejsce i czas na to, żeby o koncepcjach parku narodowego rozmawiać łamiąc pewne kanony spojrzenia na obszar chroniony. Pamiętam pierwsze rozmowy z urzędnikami w połowie lat 80., kiedy dyskusja na temat parku wyszła poza granice województwa, na szczebel ministerstwa. Według nich, powstanie parku na terenach rolniczych było sprzeczne z koncepcją parku narodowego. Ale od samego początku udowaśniałem, że ten park, ten fragment Polski jest specyficzny, bo człowiek przekształca tu ziemię od raptem 300 lat. Po eksterminacji Jaćwingów w końcu XIII w., do czasu osiedlenia kamedułów w 1678 r. te ziemie nie były cywilizowane, były to tereny dzikich puszczy. Oczywiście były tu prawa bartne, sianożęcia, jacyś osocznicy, ale dopiero po sprowadzeniu kamedułów zaczęto lasy intensywnie eksploatować, budować wsie, powstało miasto Suwałki. Ten obszar do granicy rzeki Rospudy i Pojezierza Sejneńskiego, na dół do Kanału Augustowskiego, czyli do końca puszczy i na północ do Wiżajn - to fragment Polski, którego historia cywilizacyjna w rozumieniu znaczącego przekształcania krajobrazu na potrzeby człowieka liczy zaledwie 300 lat. Stąd ślady człowieka na tej ziemi i skala przekształceń krajobrazu w porównaniu do każdego innego miejsca w Polsce są wielokrotnie mniejsze. W związku z tym w parku mówimy, że chronimy zgodnie z ustawą o ochronie przyrody zasoby przyrodnicze, ale także zasoby kulturowe: walory przestrzeni kulturowej, ukształtowanie sieci osadniczej, sposoby użytkowania ziemi. Przekształcenia krajobrazu, jakie nastąpiły w przeciągu tych 300 lat są tu tak niewielkie, że w Suwalskim i Wigierskim Parku można zaobserwować w krajobrazie, jak przesuwał się lodowiec, bez domyślania się, jak to było kiedyś - te formy nie zostały tu przekształcone. Gdzie indziej - czyli niemal wszędzie - wyeksploatowano takie tereny na żwirownie, glinę do budowy domów. I mówimy: "Tu była górka, ale już jej nie ma". A tu była i jest.

samorządów wyprzedaje swoje cenne przyrodniczo tereny argumentując, że wszystko powinno być dla ludzi i społeczności lokalnej.

Z. S.: Gdy mówimy o zagrożeniach parku, które mogą spowodować utratę jego wartości, to w tej części Polski występują dwie grupy zagrożeń: jedne związane z funkcjonowaniem człowieka w przyrodzie, czyli wszystko, co dotyczy gospodarki wodno-ściekowej, energetyki, ogrzewania itp. I tu sytuacja jest taka, że dzięki pomocy różnych instytucji i aktywności samorządów, mamy już - albo niedługo będziemy mieć - dobrze rozwiązany problem gospodarki ściekowej dzięki programom ISPA, Ekofunduszowi, Narodowemu Funduszowi Ochrony Środowiska i innych instytucji. A zatem te zagrożenia minimalizujemy i są tego efekty, np. w tym roku, w bardzo ciepłym, anormalnym sezonie letnim, Wigry nie zakwitły. Znaczący to, że oczyszczalnia miejska w Suwałkach pracuje świetnie. Natomiast drugim zagrożeniem, z którym mamy największy problem jest presja urbanizacyjna, czyli próba zabudowania każdego kawałka ziemi. Jeśli spojrzymy na ogłoszenia w gazetach, to najważniejszym atutem przy ofercie działki jest bliskość parku narodowego. Z jednej strony ludzie zdają sobie sprawę, że dzięki temu, iż jest tu park narodowy cena ziemi jest wysoka. Potencjalny kupiec wie, że jest tu czysto i zdrowo. Ale z drugiej strony, ci sami ludzie nie rozumiają, że chcąc wybudować w każdym miejscu dom, te walory się niszczy.

Jest to więc podcinanie gałęzi, na której się siedzi.

Z. S.: Tak, ponieważ mówimy: "Ja bym chciał tu dom, ale tamtego już nie" Jest to typowa mentalność Kalego: "Kalemu ukraść - niedobrze, ale Kali ukraść - bardzo dobrze". Na całe szczęście sytuacja nie jest tak całkowicie beznadziejna, ponieważ obszary gmin znajdujące się na terenie parku mają plany zagospodarowania przestrzennego, które powstały już po powołaniu parku narodowego. Czyli liczą sobie 8-9 lat, a park - 13. W tamtym czasie w wyniku negocjacji ówczesnej dyrekcji parku i zarządów gmin udało się wypracować takie zapisy planów gmin, że w wielu przypadkach udaje nam się obronić przed kolejnymi inwestycjami. Ale nie są to jeszcze sformułowania na tyle precyzyjne, żeby nie stwarzać furtek dla różnych przebiegłych prawników i omijania prawa. Albo polskie prawo w wielu przypadkach jest na tyle nieprecyzyjne, że zezwala na różne działania, które - gdy patrzy się z zewnątrz - są karygodne. Pole manewru takich administratorów jak ja - nie tworzę prawa, tylko korzystam z niego - jest niewielkie. Oczywiście mam swoich wrogów, którzy wytaczają argumenty, że park gnębi społeczność lokalną. Jest to bzdura. Jeśli w ciągu roku kalendarzowego na przestrzeni ostatnich 4-5 lat, zgodnie z prawem, park wydaje ok. 80 pozytywnych opinii na budowę nowych domów spośród wpływających ok. 85-90 wniosków, to znaczy, że prawie 90% ludzi potrafi czytać plany i gminy wydają te decyzje zgodnie z planem. Natomiast jest pewna grupa ludzi, którzy uznają, że są ponad prawem i będą mogli tu wszystko zrobić, bo mają pieniądze, układy, możliwości. I zaczyna się awantura prawnicza, różne kombinacje.

I odbywa się to wszystko za zgodą samorządów lokalnych?

Z. S.: Tak i trudno nie zrozumieć ich racji, bo jeśli gmina jest biedna, to każdy kolejny budynek oznacza więcej podatków. Głównie brak świadomości i wiedzy o zasobach przyrodniczych, a także tego, co turysta chce, powoduje istnienie tych konfliktów, ale pomału się to normuje - tak jest przynajmniej na przestrzeni ostatnich dwóch lat, że te nieprawdziwe, nierzetelne informacje nie są już ani publikowane, ani nie stanowią sensacji, chociaż nadal jest tak, że mamy sprawy w NSA i innych instytucjach związanych z postępowaniem administracyjnym. Ostatnio jest jednak tak, że większość spraw wygrywamy, ale zdarzają się decyzje sądów dziwne i trudne do zrozumienia.

A czy na terenie parku zdarzają się ostre konflikty?

mamy kilka - przyzwyczały się do nieograniczonego korzystania z zasobów jeziora, jako że straż rybne - zwłaszcza po wojnie, bo przed wojną był porządek i dyscyplina - nie tępiły skutecznie kłusownictwa. Zanim tu zacząłem pracować, było tak, że rybacy stawiali sieci, pracowali na tych jeziorach 2-3 tygodnie, w zależności od pogody i pod koniec tego okresu kłusownicy kradli im coraz więcej sieci. I w rachunku ekonomistów sieci są drogie, więc podliczano straty i postanawiano zakończyć połowy. Wtedy się okazywało, że kłusownicy jeszcze przez tydzień łapali tymi sieciami ryby, ale byli nieuchwytni. Ja, oceniwszy sytuację, tak zorganizowałem pracę i administracji, i straży, i rybaków, że nie zginęła żadna siatka. Wtedy - w 1996 r. - obliczyliśmy, że kłusownicy zarobili po tych zmianach niewielkie sumy, wręcz śmieszne. Obecni strażnicy parkowi zdejmują w ciągu roku z jezior 150-160 siatek kłusowniczych różnego typu. Co roku jest kilka, kilkanaście spraw w sądach. Łapie się miejscowych ludzi na kłusownictwie, na próbie bicia prądem i nie można ich tego oduczyć. Nie zarybiamy jeziora Wigry węgorzem, bo to jest najbardziej kryminogenna ryba, natomiast zarybiamy sumem, bo on w ekosystemie spełnia taką samą rolę jak węgorz, a nie jest atrakcyjny dla kłusownika. Kłusownicy są groźni z różnych względów, jak np. niepokojenie ptactwa, niszczenie środowiska, metody połowu. Staramy się to ograniczyć skutecznie i w efekcie mamy określonych wrogów.

Ale oprócz konfliktów jest wiele form współpracy ze społecznością lokalną. Ludzie mają materialne korzyści z istnienia parku, co wiąże się z rozwojem regionalnym, z podnoszeniem standardu życia. Rozwija się turystyka, agroturystyka. Obecnie pracuje tu koło zootechników z SGGW. Przygotowujemy taki program "Restytucja hodowli prymitywnych ras zwierząt gospodarskich". Są to działania dotowane i w Unii Europejskiej, i u nas w kraju. Jest to sposób gospodarowania mniej intensywny, wielotorowy i może wzmocnić rolników ekonomicznie. Robiliśmy różne działania związane z przygotowaniem do funkcjonowania w Unii Europejskiej, np. szkolenia w zakresie promocji i rozwoju agroturystyki. Wspieramy tego typu działania, co ludzie coraz częściej dostrzegają i chcą współpracować z parkiem, widząc w tym konkretne korzyści. Wydajemy własny kwartalnik "Wigry", który jest odbierany pozytywnie, bo wiele wyjaśnia, informuje, pokazuje także działalność ludzi miejscowych. Ale nie ma takiego działania, które byłoby przez wszystkich akceptowane w stu procentach.

Jest obecnie taka tendencja, aby osłabiać pozycję parków narodowych i wprowadzać różne formy zarabiania na takich terenach. Niedawno były Główny Konserwator Przyrody, pan Radziejowski powiedział, że potrzebne jest przewartościowanie znaczenia parku narodowego, bo na jego terenie nie toczy się zwykle życie. W związku z tym samorządy powinny mieć więcej do powiedzenia, powinno być więcej inwestycji turystycznych. Czy zgadza się Pan z takim postawieniem sprawy, bo oznacza to w pewien sposób osłabienie rygorów ochronnych i pójście na rękę samorządom.

Z. S.: Nie chciałbym komentować wypowiedzi p. Radziejowskiego, który był przez pewien czas moim szefem, ale nie odczułem, aby jego decyzje miały jakiś korzystny wpływ na park. Wprost przeciwnie, były działania niezrozumiałe i nie uwzględniające interesów Wigierskiego Parku Narodowego. Park narodowy jest obszarem, na którym - jeśli ma spełniać określone wymogi - działania ochronne są na pierwszym miejscu. Jeżeli tego nie będziemy przestrzegać, to równie dobrze moglibyśmy zrezygnować z istnienia parku. Oczywiście jest, że park narodowy jest obszarem udostępnionym do użytkowania turystycznego, ale - co należy podkreślić - w sposób nie pogarszający jego zasobów. I kto ma ocenić, jaka skala zagospodarowania turystycznego jeszcze nie zubaża przyrody, a jaka już to czyni? Tu zaczyna się spór. Ten, który chce zbudować kolejny hotel, mówi: "Jak to? Co to za szkoda? Ja zarobię na tym pieniądze, dla mnie jest to biznes". Natomiast dyrektor parku mówi: "Kolejny hotel to jest nie tylko sprawa budynku w krajobrazie. To jest kolejna grupa ludzi ściągnięta na teren obszaru chronionego, która chce się przemieścić, zjeść, przywieźć swoje samochody - to są wszystkie konsekwencje cywilizacyjne, urbanizacyjne. Teren raz zbudowany domem czy obiektem nie powróci do przyrody w dającej się ogarnąć perspektywie czasowej". Kto ma więc rozstrzygnąć, w którym

miejsu to użytkowanie jest jeszcze do zaakceptowania w parku, a w którym już nie? My mówimy, że powinna to czynić administracja parków. Zrobiliśmy plany ochrony, na które wydano poważne pieniądze społeczne, pracowało przy tym ok. 30 fachowców z różnych dziedzin, powstała dokumentacja ekspercka, która ocenia, co można, a czego nie można i ja posługując się tym dokumentem mówię: stop. A inwestor mówi: nieprawda. Na takiej zasadzie można powiedzieć, że koło nie jest okrągłe. Siła argumentów jest diametralnie różna, ale z punktu widzenia inwestora to on ma tu interes do zrobienia. Samorząd mówi, że kolejny hotel to kolejne podatki i dlatego park nie chce dać ludziom zarobić. Dzisiaj, dzięki kolejnym modyfikacjom ustawy o ochronie przyrody, pozycja parków narodowych została bardzo osłabiona i już odczuwamy to w praktyce. W związku z tym presja rekreacyjna i urbanizacyjna zagraża substancji przyrodniczej. W Wigierskim PN to jeszcze nie występuje w sensie ilości turystów, bo odwiedza go rocznie ok. 65 tys. osób. I jest to okres dość krótki - 3-4 miesiące w skali roku. Ale jeśli np. w Pieninach jest to 700 tys. czy 3 mln ludzi w Tatrach, to gdzie jest granica pojemności tej przyrody? Ludzie, którzy trochę "liznęli" Zachodu, mówią, że w parku Yellowstone można samochodem wszędzie wjechać. Tylko taki człowiek nie zdaje sobie sprawy, że park Yellowstone ma wielkość miliona hektarów, czyli powierzchnię jak dawne województwo suwalskie, a udostępnione dla samochodów jest w nim 5-7% obszaru. Natomiast żeby spłynąć kanionem, czeka się w kolejce dwa lata i trzeba się wcześniej zapisać, ponieważ służba parku ustaliła, że jednego dnia tylko tyle trawek może spłynąć i ani jedna więcej. Sezon trwa określoną ilość czasu i więcej nie ma siły - czy prezydent będzie chciał płynąć, czy najbogatszy człowiek Ameryki. Koniec, szlaban. I może tak powinno być w Tatrach? Ludzie zapisywaliby się na dwa lata do przodu, żeby odwiedzić Kasprowy Wierch. Ale to do świadomości ludzi nie dociera i w związku z tym pojawiają się takie demagogiczne hasła, że będziemy rozwijać turystykę w nieskończoność. Ale jest pewna pojemność przyrodnicza - nie każdą ilość ludzi teren może wchłonąć bez szkody dla niego. Zatem powiedzenie, że to nie dyrektor parku tylko ktoś inny będzie decydował o tym, co w parku można zrobić i oceniał efektywność ochrony zasobów, to chyba jakieś pomylenie pojęć. Oczywiście jest, że te wszystkie plany ochrony nie funkcjonują w próżni społecznej, one powstają w drodze porozumień, uzgodnień, negocjacji, świadomości realiów tego terenu, możliwości inwestowania, ale także - co jest najważniejsze - wartości i zasięgu zasobów przyrodniczych.

Obecnie bardzo często dyrektorzy parków nie mają wsparcia swoich zwierzchników, którym nie zawsze zależy na tym, żeby park był należycie chroniony. I mają dyrektorzy parków dwie drogi - albo stają się uległymi konformistami, którzy dla samorządów lokalnych stają się "swoimi ludźmi", albo idą drogą niepopularnych decyzji i wtedy stają się konfliktowi, mają wielu wrogów. Czy z perspektywy bycia dyrektorem ma Pan jakąś receptę, jak powinna być chroniona osoba dyrektora?

Z. S.: Sytuacja w moim odczuciu wygląda nieco inaczej. Uważam - i wynika to z mojej praktyki - że te działania dyrektorów postrzegane z zewnątrz jako ustępstwa wynikają tylko z tego, że w niektórych przypadkach zapisy prawa są niejednoznaczne. Nie ma takiego dyrektora ani ministra, który by powiedział, że podejmuje decyzję niezgodną z prawem, bo ona i tak nie mogłaby obowiązywać. Ale ponieważ są zapisy niejednoznaczne, to w drodze interpretacji okazuje się, że dyrektor ma inne zdanie, minister inne, a prawnicy jeszcze inne. Zresztą żaden urzędnik państwowy, a takimi my jesteśmy, nie jest wieczny. Urzędnik musi być dobry, tzn. działać zgodnie z prawem. Jeśli wszystkie kontrole, a mamy tu ich wiele, wykazują, że park nie łamie przepisów prawnych i działa zgodnie z wszystkimi zasadami funkcjonowania, to idealnie. Ale takiego urzędnika też można zdjąć, jeśli pan minister ma inną wizję funkcjonowania parku. To nie jest prywatna własność. Ja uważam, że nie ma takiego mechanizmu, który by zagwarantował dyrektorowi stabilność na stanowisku. Z drugiej strony uważam, że dyrektor parku to jest takie stanowisko, które wymaga dogłębnego poznania specyfiki danego terenu. To nie jest firma, gdzie dyrektor znając pewne ogólne reguły ekonomiczne może raz zarządzać fabryką gwoździ, a raz pantofli. Tu się tak nie da. Teoretycznie jest możliwe ustalenie kadencji. Natomiast patrząc na zarządzanie taką jednostką, nawet wybitne osoby nie są w

Stanie poznać, kilkadziesiąt tysięcy hektarów w ciągu krótkiego okresu czasu i
ze Zdzisławem Szkiruciem, dyrektorem
Wigierskiego PN rozmawia Dariusz
Matusiak

potrafić wspólnie z załogą i radą parku tworzyć długookresowe plany działania.

Jakie są Pana prognozy na najbliższe lata funkcjonowania parków narodowych w Polsce?

Z. S.: Te zmiany w ustawie o ochronie przyrody, które zostały wprowadzone w ostatnich latach były dla przyrody bardzo niekorzystne. Według mnie, był to poważny krok wstecz. Teraz nie wiemy niestety, w jaką stronę pójdą korekty ustawy. Wydaje się, że zmierza to do poprawy - tak wynika z informacji dostępnych na stronach internetowych ministerstwa. Jaki będzie efekt końcowy, co parlament przyjmie? Wiem z praktyki, że czasami jest to coś zupełnie innego od wstępnego projektu. Upatruję natomiast istotnej szansy na poprawę funkcjonowania parków narodowych po wejściu do Unii Europejskiej, ponieważ znam sposoby funkcjonowania parków narodowych, krajobrazowych i obszarów cennych przyrodniczo w krajach "piętnastki", mechanizmy ich istnienia, gospodarowania przestrzenią, a także rygory prawne, które tam obowiązują i są właściwie niezmiennie.

Część przyrodników jest jednak nastawiona sceptycznie do przystąpienia Polski do Unii Europejskiej, uważając że dzika przyroda na tym straci. Fakty są bowiem takie, że np. teraz mamy w Polsce tyle bocianów, ile jest w całej Unii Europejskiej, a niedźwiedzi tyle, ile w większości krajów Zachodniej Europy. Po wejściu w struktury unijne polska przyroda zostanie poprzecinana siecią autostrad, a małe gospodarstwa rolne przekształcone na wielkoobszarowe farmy.

Z. S.: Są różne punkty widzenia na tę sprawę. Pan mówi o wielkoobszarowym rolnictwie, a komu ta produkcja jest potrzebna? Przecież np. w rolnictwie francuskim pomału odchodzi się od wielkotowarowej produkcji, bo nikt tego nie chce. Klient coraz częściej pyta nie o ilość, ale o jakość. W tego rodzaju dyskusjach używam zawsze takiego argumentu: pod koniec XIX w., kiedy jeszcze nie wymyślono silnika spalinowego, odbyła się w Londynie międzynarodowa konferencja, na której debatowano nad tym, że koń zniszczy miasto. Bo gdy zanalizowano rozwój miasta i dystans, jaki koń może pokonać oraz ile tych tramwajów konnych musi przybyć - to wykazano, że Londyn zginie pod zwalami końskich odchodów. Wymyślono silnik spalinowy i problem przestał istnieć. Myślę, że człowiek jest na tyle inteligentnym stworzeniem, że co prawda nadal eksploatuje drastycznie przyrodę w wielu miejscach świata, ale to się kończy. Już chyba nie ma na świecie takiego, który by proponował odwrócenie biegu rzeki. A ja pamiętam sprzed lat takie pomysły, na szczęście niezrealizowane. Dziś w Niemczech, Holandii czy Danii uważają, że regulacja była błędem i za horrendalne pieniądze odtwarza się bieg starych rzek. Kilkadziesiąt lat temu, gdyby jakiś "zielony" coś takiego wniosł, to odsadzono by go od czci i wiary. Sądzę, że ten sposób eksploatacji przyrody będzie coraz mniej dla niej drastyczny, bo człowiek sobie tę szkodę już uświadamia. Samochody są dzisiaj ważnym czynnikiem rozwoju gospodarczego, ale drogę można wybudować lepiej i gorzej. Można krzyknąć "TIR-y na tory!" i to dziś do nikogo nie trafia, ale w końcu trafia, bo jest to słuszne. Mówiono o źródłach energii odnawialnej, że to fanaberia bogatych. A dziś na Suwalszczyźnie kończy się prace projektowe nad dużymi fermami wiatrowymi, które pokryją całkowicie zapotrzebowanie energetyczne tego województwa i żadna elektrownia nie będzie tu potrzebna.

Czy chciałby Pan coś dodać na zakończenie?

Z. S.: Wykazaliśmy, nie tylko my, ale wiele parków narodowych, w których społeczność lokalna funkcjonuje w nich lub na ich obrzeżu, że park jest istotnym elementem rozwoju regionalnego. Cokolwiek przeciwnicy nie powiedzą, to jest to oczywisty element ułatwiający pozyskiwanie środków. Jest to w bardzo wielu przypadkach istotna grupa zawodowo-społeczna, mająca wpływ na środowisko lokalne. Jest zwarta, najczęściej nieźle wykształcona grupa ludzi, która żyje nie tylko w pracy, ale funkcjonuje w środowisku. Parki są co prawda dość nisko płaconym, ale wiarygodnym pracodawcą.

W ramach trzech największych grup
ze Zdzisławem Szkiruciem, dyrektorem
Wigierskiego PN rozmawia Dariusz
Matusiak

elementem przyciągającym pieniądze, które trafiają do podmiotów lokalnych. Inwestycje turystyczne, edukacyjne - wszystko, co się dzieje w terenie, trafia do lokalnych firm. A teraz, gdy jesteśmy na progu akcesu do Unii Europejskiej, w której rozwój lokalny i polityka regionalna zyskują na znaczeniu, posiadanie takich obszarów węzłowych, w sensie atrakcyjności, ściągania ludzi, może być motorem rozwoju. Ale to wcale nie znaczy, że hotel ma powstać na brzegu jeziora. Hotel ma powstać w pewnej odległości, a ludzie powinni do tego jeziora dojść pieszo i po drodze jeszcze coś zjeść, kupić pamiątki, zapoznać się z lokalną atrakcją. I wtedy będzie interes dla miejscowych. A gdy hotel będzie nad brzegiem jeziora to interesu nie będzie. Bo kto zarobi? Tylko hotel, który jest zarejestrowany w Warszawie czy Poznaniu i tam odprowadza podatki. ❌

Dziękuję za rozmowę.

Krzywe, dn. 5 września 2002 r.

Zdzisław Szkiruć (ur. 1949 r.) - studia ukończył na wydziale leśnym SGGW w Warszawie, studia podyplomowe z zarządzania obszarami chronionymi na SGGW i integracji europejskiej na SGH oraz w Europejskim Instytucie Permakultury w Niemczech. W latach 1975-1989 Wojewódzki Konserwator Przyrody woj. suwalskiego, w okresie 1989-1995 Dyrektor Zakładu Usług Ekologicznych "Zielone Płuca Polski" w Narodowej Fundacji Ochrony Środowiska wprowadzający w praktyce różne rozwiązania związane z rozwojem zrównoważonym, działacz i przewodnik PTTK, rzeczoznawca Towarzystwa Urbanistów Polskich, od 1995 r. dyrektor Wigierskiego Parku Narodowego.